

denis osokin

wietługa

/mokry

papier/

wietługa

2005



Tytuł oryginału: ветлуга

ISBN 978-83-944471-5-1

© for the Polish edition

Instytut Filologii Wschodniosłowiańskiej

Poznań 2023

Przekład:

Paulina Daniszewska, Julia Gierszewska, Julia Kałuża,
Kinga Lipińska, Emilia Majewska, Klaudia Matelska,
Agnieszka Matysiak, Joanna Nowak, Julia de Rosier,
Tamara Skiba, Wojciech Suchorski, Kamila Zakrzewska,
Maria Vetulani

Redakcja prozy:

Krzysztof Tyczko, Denis Osokin

Fotografie ze zbioru Denisa Osokina:

Молочаи октябрь

Лаишево апрель

Pomysł, koordynacja i przygotowanie tekstu do publikacji:

Krzysztof Tyczko

Wydawca:

Instytut Filologii Wschodniosłowiańskich

Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

al. Niepodległości 4, 61-874 Poznań

Niniejszy tekst powstał w ramach zajęć z przekładu artystycznego prowadzonych w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskich na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w roku akademickim 2022/2023.

Autorzy wraz z Koordynatorem serdecznie dziękują Denisowi Osokinowi za okazane wsparcie i wyrażenie zgody na publikację przekładu, a Dyrekcji Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskich – za otwartość i przychyłność.

Z oryginalnym tekstem *Wietługi* można zapoznać się w książce Denisa Osokina *Огородные пугала с ноября по март*, Wydawnictwo АСТ, Moskwa 2019.

*

25 listopada dostałem zaliczkę za listopad. kupiłem na rynku kiszonej kapusty – sos sojowy – żurawinę – dwa opakowania zielonej herbaty z chińskim cesarzem siedzącym na tronie – pięć butelek wody mineralnej 'wietłużskaja' – i wreszcie zacząłem swój długo wyczekiwany post. zawsze zaczynam go o tej porze: radować się i przysłuchiwać grudniowi – miesiącowi cudów – witać i jego i zimę. okres od końca listopada do nowego roku – to dla mnie taki osobisty święty miesiąc ramadan. post bożonarodzeniowy nie ma z tym nic wspólnego. przed grudniem zawsze staram się zwolnić z pracy – a jeśli to niemożliwe – pójść chociaż na jakiś urlop. cicho żyć wewnątrz domu – cicho spacerować po ulicach. też krótkie wycieczki w listopadzie i grudniu są tak cudowne że aż chce się śpiewać – byleby były pieniądze. wyjechać dajmy na to do obwodu kirowskiego – do Łuzy – pomieszkać ze dwa trzy dni w hotelu – albo nagle przyjechać do maryjskiego miasta zwienigowo – albo wyruszyć w pielgrzymkę do czuwaskiej stolicy szupaszkar. i w tym dużym i przytulnym mieście nie żałować że w hotelu 'mir' jest zaskakująco drogo – z zadziwieniem i wesołością patrzeć jak nad ulicami migają czerwone lampki 'szupaszkar – czeboksary' – i serdecznie witać ogromną mamę na bulwarze – z napisem na piedestale 'błogosławione moje dzieci żyjące w pokoju i miłości' – ona patrzy na ciemne przystanie – wołgi skutej lodem. wieczorem cały w śniegu iść do pokoju i włączać telewizor. wyjmować z torby sałatkę z wodorostów i sok pomidorowy. to dla mnie najlepszy okres. czasami trwa dłużej – do starego nowego roku – do połowy stycznia. jeżeli starczy sił żeby nie obezreć się w święta. oczywiście zazwyczaj nie starcza.

*

w tym roku znów się zwolniłem. szefostwo poprosiło mnie żebym poczekał jakiś czas z wypowiedzeniem – dopóki nie znajdą kogoś na moje miejsce. ale od grudnia nie muszę już nic dla nich robić. po listopadowej zaliczce dadzą mi wyrównanie. z jakimiś tam moimi zaskórniakami będę mógł przeżyć bez pracy

całą zimę. znowu chcę być po grudniowemu spokojnym mistycznym i gotowym na wszystko. chcę żeby telefony milczały. tym razem raczej nigdzie nie pojedę – pieniędzy tak czy siak mam mało – posiedzę w mieście – przywitam nowy rok tutaj. w hadisach proroka jest powiedziane: we krwi szatan krąży po żyłach człowieka – wypędźcie go postem. ten sam szatan pod koniec roku wyjątkowo mocno rozhulał się w moich żyłach. jestem z siebie niezadowolony. i wszystko mnie boli.

*

to co? trochę się teraz rozejrzemy. rozepniemy się – gorąco. przejdziemy od mojej byłej pracy do mojego domu. to niedaleko. wietługa ma dziesięć tysięcy mieszkańców – i dwa autobusy miejskie. stacji kolejowej brak. autobusy są żółte. i jednopiętrowe domy. na czapkach śnieg – a pod nogami ślisko. dziewczynka jedzie na rowerze – w liliowej kurtce puchowej – na rowerze 'salut' – po śniegu. ja też sobie sprawię taką córkę. nazwę ją swietłana. wiem jak się z nią obchodzić i naprostować jej losy: każdego dnia od narodzin swięty wspólnie wieczorem zapalać lampę naftową – nie na długo – potem zdmuchnąć. ot i całe niezbędne wychowanie – byle się nie lenić. pachnę macierzą i rdestem które piję w dużych ilościach. a wewnątrz mam żurawinę. ogólna radość i zdrowie. jestem wspaniały. i może będę długo żył: w mieście wietługa nad rzeką wietługa na ulicy wietłuskiej – na drewnianym piętrze jednopiętrowego domu – na którego kamiennym parterze znajduje się sklep 'wietła' gdzie zawsze można dostać orzechy w paczkach i wietłuską wodę mineralną.

*

spotkałem nataszę – która trzy lata temu w topolach przy cmentarzu pozwalała mi a to zadrzeć swój brązowy sweter wraz z niebieskim podkoszulkiem i białym stanikiem – a to ściągnąć spodnie i zobaczyć tam całą resztę. a potem powiedziała 'chcesz...?' – i przykucnęła. potem wypłuła to co wkrótce znalazło

się w jej ustach. niosłem ją następnie na barana – śpiewając piosenkę o kaczu. 'o loli loli loli loli ługowaja' – wtórowała mi przy refrenie. szliśmy tak przez ciemne topole do przystanku autobusowego. zabawna ona jest i urocza. ożeniłbym się z tobą nataszo – powiedziałem do niej. i ja bym za ciebie wyszła – odpowiedziała. przypomniałem sobie teraz to wszystko idąc ulicą. natasza z którą dopiero co szepnęliśmy sobie na przywitanie została z tyłu – idzie pospiesznie – prostopadle do mojego kierunku – bez czapki pod kapturem.

*

po czarnej herbacie mnie mdli. kawa pobudza mnie w niedobry sposób – wzmacnia niepokój: a szkoda – kawa zaparzona w tygielku to bardzo przyjemna rzecz. zieloną herbatę – zwłaszcza z jaśminem – piję z radością – nawet z dumą – (wtedy to ja jestem cesarzem – mongolii wewnętrznej) – ale też z pewną ostrożnością: zielona herbata może wywołać u mnie niespodziewane wymioty. herbata nie jest bliska memu sercu. pozostaje woda – ale jest zimna. i sok pomidorowy – ale jest drogi. buszmeński rooibos i argentyńska yerba – moi niezawodni druhowie – cieleśnie i pod względem smaku – są w supermarketach w niżnym nowogrodzie – ale przecież tam nie pojadę. zostają mieszanki lecznicze i pojedyncze zioła – na nich się skupiam. jakież to wspaniałe: w każdym pokoju i w kuchni w szklankach i czajniczkach mam niedopite świeżo lub staro zaparzone zioła – spodki i sitka pełne są fusów – i wszystko to jest rozmaite: i wszystko pachnie: życiem. nawet wiadro z pomyjami pachnie radością i życiem. wszędzie mam puste lub na wpół puste pudełka z namalowanymi z każdej strony kolorowymi roślinami. w jakiejś szklance jest papka z żurawiny. w innej – kwaśny zapach kaliny i wytłoki. (myję kubki – ale nie od razu – lubię na to wszystko patrzeć). i ja tak samo – we flanelowej niebieskiej koszuli nocnej – w wysokich damskich zielonych wełnianych podkolanówkach z jelenim żółtym ornamentem – przywiozłem je z komi – chciałem je komuś podarować. na drzwiach wejściowych wisi czerwona łyżka do butów – brzęczy jak 'dzwonek wietrzny' – pilnuje dni. jeśli

siadam przy biurku – nogi wkładam do miednicy z szyszkami. taki jest mój dom w grudniu.

*

balkonu nie mam. dom jest stary – i same okna są jak drzwi balkonowe. otwieram je w ciepłe śnieżne południa – na koszulę nocną zakładam gruby pluszowy szlafrok o nieznanym rodzinnym pochodzeniu – zakładam niemiecką czapkę którą podarował mi przyjaciel – i siedzę przy ścianie przy oknach – piję gorącą żurawinę. tak w ogóle to palę – i lubię alkohol. ale w takim moim grudniu nie chce mi się ani tego ani tego. jeśli chodzi o palenie – palę tylko wtedy gdy dużo biegam – robię coś wspólnie z innymi ludźmi. albo kiedy się napiję. a alkohol lubię sączyć gdy nie mam nic ważnego do załatwienia – lub kiedy wszystko jest już załatwione. nie piję ciągami. a jeśli się upijam – to rzadko – rano marzną mi wtedy stopy i dłonie – a w miejscu serca czuję przeciąg. w grudniu ze trzy razy może się zdarzyć że kupię sobie na przykład kagor – i się poczęstuję. albo coś z bułgarii z mołdawii. i to pod koniec miesiąca-postu. wino oczywiście jest dobrym i potrzebnym napojem. często myślałem i myślę o tym nadal że oprócz kranów z ciepłą i zimną wodą w domu powinno się mieć jeszcze trzeci – z jakimś jednym winem – najlepiej wedle uznania. władze powinny się o to zatroszczyć. w wietłudze jest to na razie niemożliwe. nawet we francji czy włoszech nie ma takich trzecich kraników. może w macedonii już dawno są? albo w kraju crna gora.

*

grudzień – utęskniona radość. życie całuje nas w grudniu. robi prezenty. dużo śpię. mało jem. bez wychodzenia z domu dużo spaceruję: w myślach wożę sankami dzieci i panny – patrząc w okna lub sufit – siedząc albo leżąc. słabe niebieskie światło. pierwsze ubogie lampki noworoczne – powieszzone na drzewach. podziwianie grudnia – bardzo subtelna osobista sprawa: japończycy organizują zbiorowe podziwianie księżycy lub szkarłatnych liści klonu – i trwa

to przez cały wieczór: podziwianie grudnia trwa przez cały grudzień – obejmując lekko listopad i styczeń – przeczuwając i żegnając się. czasem zachce się wyjść do miasta i kogoś przyprowadzić. jakąś przyjaciółkę. lub zadzwonić i zaprosić w gości. rzadko sobie odmawiam – w innych miesiącach. piję palę i zadaję się z pannami. ale grudzień jest tylko dla mnie. idę do kuchni parzyć zieloną herbatę i cytryniec. nie mam się czym chwalić: nie zdołałem oprzeć się pokusie by zejść do 'wietły' po durnowatą szkodliwą nalewkę brusznicową papierosy i roladę – optukać filiżanki i czekać na gościnię. (i czy faktycznie jest to pokusa?) oto on – grudzień: gdy wywarów ziołowych z wywarami ciszy chce się bardziej niż trelu dzwonka nad drzwiami – 'to ja' zza drzwi – pocałunków od zimnego progu – gorących zmiętych wełnianych rajstop...

*

(nocnych wypraw na ulicę ukołowa po nowe brusznicowo-żurawinowe subtelne czarnoporzeczkowe szaleństwo... spontanicznych nocnych spacerów po szerokim lodzie wietługi... oddawania moczu naprzeciw siebie w ciepłej bryzie na środku śmiejącej się z nas czuwającej pod lodem wietługi... ślizgania się – noszenia na rękach – tarzania w śniegu - niezgrabnego rozbierania – nieudanych prób...)

*

obudziła mnie jasność i niepokój. biały wiatr huczy za oknami – ciepły śnieg grudniowej nocy w wietłudze. na mojej klatce też jest wiatr – na drewnianych schodach. gdzieś na wietrze pijani ludzie krzyczą. pokrzyczeli i umarli. jest druga w nocy – nie śpię. oczywiście – przecież w ciągu dnia też się wyleguję – niczym się nie zamęczam. czuję niepokój – jakbym nagle znalazł niezrozumiałą małą plamkę na skórze pod pachą. nie ma żadnej plamki. włączyłem światło. grudniu – pociesz mnie. to wszystko dlatego że źle jest budzić się w nocy – i siedzieć bez snu. no dobra – będę czuwać. zacząłem myśleć o wyspie

kołujew na morzu barentsa – jak jeszcze niedawno chciałem pojechać w sierpniu w te strony. jak dzwoniłem do miasta pieczora – do sekretarza szefa żeglugi pieczorskiej – pytałem czy rakieta chodzi na narjan-mar. dziewczyna była rozdrażniona – pewno niezamężna – w zimnej pieczorze – z akcentem pieczorskich komi. powiedziała: proszę zadzwonić do głównego dyspozytora – i rzuciła słuchawkę. główny dyspozytor powiedział że płynie 'zorza' a nie 'rakieta' – i nie z pieczory – (nasza pieczora się spłynęła) – ale od wsi szczelajur – (to dużo niżej) – w środy piątki i niedziele o 6 rano – czas podróży 12 godzin – cena 2430 rubli w jedną stronę. pieczoro – miasto nad rzeką pieczorą – pozdrawia cię wietługa: miasto i rzeka – myślałem odkładając słuchawkę. zapaliłem światło i myślałem o wyspie wajgacz między morzem barentsa a morzem karskim – i o cieśninie jugorskij szar między wajgaczem a lądem. i o wsi miezien – w pobliżu zatoki miezieńskiej nad morzem białym. tam też kiedyś zadzwoniłem – do miezieńskiego wydziału kultury: pytałem czy potrzebny jest pracownik z wykształceniem filologicznym – umiejący grać na akordeonie – który pracował kilka lat w kulturze. w swoim życiu obdzwoniłem wiele wspaniałych miejscowości – ale nadal mieszkam tutaj. wietługa – mój sterowiec – mój batyskaf – na którym latam nad morzami-huśtawkami nad torosami nad czarną śnieżycą w świstach zimowego i wiosennego wiatru – na którym zanurzam się w wodzie by wachniom patrzeć w oczy. wietługa – moja precudowna – kapsuła 'wietługa' – umiejąca pływać i latać – i sunąć po polu. myśląc o miezieniu otworzyłem szklane drzwi do biblioteczeki wyjąłem album malarstwa miezieńskiego – ta lokalna sztuka fascynowała mnie na ostatnich latach studiów: konie słońca jelenie – świerki z korzeniami – kaczki i łabędzie – ich pióra – gwiazdy – szlaczki oznaczające wiatr i bieg – na skrzyniach i kołowrotkach – na kołyskach i pudełkach z kory brzozy. ukończyłem uniwersytet w niżnym nowogrodzie.

*

zasnąłem nad ranem. obudziłem się o dziesiątej rano. niepokój wyparował. grudniu – znów mnie przygarnąłeś – krzyczysz z ulicy ze sklepu swoimi białymi krzykami – białym stukiem stukasz w okno. to co? tej nocy zasłużyłem na pierwszą butelkę kagoru. na śniadanie zjadłem kapustę i żurawinę – popiłem herbatą energetyzującą numer 3 – ubrałem się i idę. nie do 'wietły' oczywiście – trzeba się trochę przejść. dochodzę do placu pierwszego maja – sprzedają tam rękawice i skarpetki – przetwory słoikowe chrzan i stare książki. obok jest sklep. kupuję kagor z żaglowcem na etykiecie i z lakowanym korkiem. jeszcze wodę. piętnaście minut później stukam nogami po schodach – strzepuję z butów śnieg – jestem w domu.

*

pierwsza po południu. wina więcej nie ma. wyjąłem akordeon – i gram na całą wietługę. śpiewam po macedońsku – serbsku – i po tatarsku o słowiku. i bułgarską piosenkę 'wyrwite družki'. i 'najsztastliwijat den'. nie znam tych języków – chciałbym znać ze dwadzieścia – ale znam dwa – za to piosenek się ponauczałem. śpiewam po niemiecku jakieś bzdury na melodię 'lili marleen'. i o armii czerwonej. śpiew przerywa chichot. zadowolony z siebie – głodny od wina – zjadam górę kapusty kwaszonej zapijam wodą – i znów wychodzę na ulicę. a może pójdę – myślę – do punktu telefonicznego? zadzwonię do wiktora z konoszy? konosza – północny węzeł kolejowy – cud który błysnął w oknach gdzie przy gwizdzie pociągów rodziła się pieszczota – gdzie nie można się ożenić dlatego że pieszczotliwe jest każde dziewczę – miasto zaraz za wołogdą – centrum rejonu konoszańskiego obwodu archangielskiego. mam w domu telefon – ale to grudzień zabiera mnie do wietluskiego punktu telefonicznego – i nie mogę nie przyjąć jego zaproszenia. 'konosza – trzecia kabina' – biegnę. witaj wiktore – to wietługa – mówię do słuchawki. cześć d. o. – słyszę w odpowiedzi. wietługa – przyjaciółka konoszy.

*

dziewczęta palą obok akademika technikum leśnego. na przystanku – autobus 'wietługa – urień'. prawie nikt nie wsiada. milicjant dzwoni z ulicznego telefonu. pewnie do żony. kagor nie szumi już w głowie. przyjemnie poszumiał – koncertowo. ulicą pod górę idą w moją stronę rybacy. mają rozpięte waciaki – ocieplane czapki pod kask zsunięte na tył głowy. niosą świdy – i skrzynki – no oczywiście. śmieją się. wypili wódki na lodzie. już się ściemnia. w wietłudze jest koło zera .

*

czym jest wierzba biała – wietła? – to żeńskie drzewo które wraz z olchą i wierzbą iwą przynosi życie – przyjmuje poród i leczy dzieci – uspokaja i przytula dorosłych – to drzewo małżeństw z miłości – poczęć w czułości – przytulności i długiego życia. kto niszczy siebie i swoich bliskich – spala się z zewnątrz spala od wewnątrz – po śmierci zostanie postawiony przed sądem wietły. ale jakim ona jest sędzią? będzie patrzyła w milczeniu – będzie szeleścić. pocałuje – odeśle z powrotem na ziemię – do nowego życia. a na herbie wietługa ma od razu osiem wietel – na zielonej wyspie – 'w srebrnym polu' – a ja myślę że pośrodku rzeki wietługi. to dlatego kiedyś wybrałem wietługę. zamiast mieszkania w niżnym nowogrodzie. ulice – poczty – wietłuskie apteki – sprzedawczynie w papierniczych – ciche – w bluzkach – z dżinsowymi pupami – wietłuska drukarnia: miasto jest żywe – miasto do kruchego i czułego życia – tego które ma smak kory wierzby. o tym że w wietłudze popełniane są morderstwa myślę gdy budzę się w nocy. i w ciągu dnia – gdy w piekarniach podchodząc do kasy patrzę pod nogi. kiedy biorę kęs sera topionego. wietłuskie krzywe nosy – wietłuska milicja – wietłuskie krzyki pod moimi oknami nie ruszą mnie stąd. stary ceglany szpital imienia doktora gusiewa mnie nie przestraszy. a sama rzeka: piaszczyste plaże – mielizny – pieszczoty w zakolach – bystra ryba w powolnej wodzie – brzegi porośnięte wietłami i jej siostrami – oto lato oto

jesień a oto zima. mieszkańcy wietługi urodzeni w dwupiętrowym szpitalu gusiewa nie myślą często o wietle. ale jest tu dużo takich jak ja – przyjezdnych wietłużan.

*

na przykład natasza – tak ta. pochodzi z kirowa. u nas w niżnym skończyła konserwatorium. teorię muzyki. przeniosła się do wietługi. prowadziła zajęcia w szkole muzycznej. w wietłuskiej bibliotece rejonowej zajmowała się zbiorami nut. była dyrektorem artystycznym w domu kultury. gdy tamtego jedynego razu niosłem ją na ramionach i krzyczałem o kaczuszcze – śmiała się trochę z mojego głupkowatego śpiewu – ale z chęcią podśpiewywała. jestem pewien że możemy być dla siebie idealnymi żoną i mężem. i niewątpliwie się pokochamy – jeśli zechcemy. a widzimy się bez umawiania – miasto ma niewielkie rozmiary. i nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. nie licząc tego topolowego wzruszającego zdarzenia – (to kalambur). możemy wziąć ślub z zamkniętymi oczami – a nie – rozchodzimy się z każdym 'witaj'. uśmiechamy przy spotkaniu – i nie myślimy o sobie – nie tęsknimy ani trochę. nam – celowym wietłużanom – ciężko się zejść. to zazdrość – do swojej osobistej wietługi. przyjezdny wietłużanin nie wzdyga się na myśl o samotności – ma swoje miasto i rzekę – o wspólnej nazwie.

*

w ciemnościach byłem na moście – patrzyłem na światła miasta. w nogach czułem zmęczenie. czapka zawilgotniała. i wełniane rękawiczki. i torba płócienna. i spodnie sztruksowe. można iść do domu pić tymianek – chrupać kapustę. trzeba dodać do tego jeszcze żurawinę i grzyby marynowane. chce się zjeść więcej na kolację. i zaparzyć zieloną cesarską herbatę w dużym czajniku. pić ją kubek po kubku – leżąc na łóżku z książką przyszwiną. grudniu – to ty mi szepczesz żebym się zakochał? w pełni ci ufam.

*

zrobiło się jeszcze cieplej. pogoda w wietludze jest na plusie. postanawiam pojechać do jonowa. tam i z powrotem – autobusem podmiejskim. jest blisko – tanio – czemu by nie? w jonowie młodzież chodzi bez czapek. mężczyźni piją drewno. pada deszcz albo śnieg. na sankach jadą bańki. drżą zieleniące się lasy. przeszedłem się trochę – z jednego końca ulicy na drugi – zadarłem głowę do nieba – postąłem tak jeszcze chwilę na podmokłym polu – i wyjechałem do miasta. nie ma bardziej pożądanego grudnia. każdy jego dzień jest świętem i cudem. rok dobiegł końca: grudzień to najlepszy prezent za ten przeżyty rok. na przystanku w jonowie gdy czekałem na autobus – podeszły do mnie dwie dziewczynki w wieku około jedenastu lat. obie smutne. trzymają coś zawinięte w siatce. niech pan weźmie papugę – powiedziały do mnie – rozwinęły szmatkę. w siatce siedzi papuga – zielona nastroszona. dziękuję – odpowiadam. – co – rodzice nie pozwalają jej zatrzymać? – kupiliśmy ją bez pytania – mówią dziewczyny. – nazywa się pika. – przyjedźcie do wietługi – macie adres – odbierzcie ją gdy będziecie mogli. – dziękujemy. – jak macie na imię? – ola lena.

*

dziewczynki z jonowa przyjechały na drugi dzień – zabrały pikę. i mama z nimi była. zrobiłem im jaśminową zieloną herbatę. powiedziałem: przepraszam – nie mam czym was ugościć. ale mama wyjęła pół placka rybnego i bułeczki z jajkiem. musiałem trochę zjeść – przecież im nie powiem że mam grudzień. wytłumaczyłem gdzie w wietludze jest sklep zoologiczny z karmą dla papug. poradziłem żeby nie narażać piki na zmarznięcie – nie trzymać w przedsionku – i czasami wypuścić żeby polatała przy szczelnie zamkniętych oknach. mamy kota – powiedziała mama. potrzebujemy dużej klatki – powiedziały dziewczynki. mama się uśmiechnęła.

*

ta jonowska pika w siatce która przyjechała ze mną do wietługi spędziła noc w moim wietłuskim mieszkaniu i odjechała z powrotem – była naszą swatką. ta książka jest tak przejrzysta jak wietługa. jak dusza i ciało wietłuskiego rosjanina. jak jego szczęście i los. tak powinno być. drugą grudniową butelkę kagoru kupiłem gdy pika wyjechała. wypłem łyka – i zadzwoniłem do nataszy. nigdy nie znałem jej numeru telefonu – właśnie się dowiadywałem – poprzez jej wcześniejsze miejsca pracy: jak się okazało nie pracowała już w domu kultury w bibliotece i szkole muzycznej – obdzwaniałem wietłuskie placówki oświaty i kultury – i znalazłem. no nieważne. pojutrze są moje urodziny – powiedziała do słuchawki. nieźle – nie zdziwiłem się.

*

czyżby mój post dobiegał końca – mój nadzwyczajny miesiąc? skończył się wcześniej niż w zeszłym roku – niż we wszystkich ostatnich latach – 18 grudnia – jeszcze przed świętami?

**

wargi sromowe nataszy okazały się zadziwiająco kształtne – zlepiają się i tak wiszą – to też grudniowy cud. można z nich ułożyć słowo 'wietługa' – jeśliby litera po literze – albo sylaba po sylabie. słowo 'kirow' – i słowo 'kazań'. dlaczego kazań? – natasza pyta. byłem z rodzicami statkiem – skrzypię do jej wygolonej skroni. głos ochrypl – przepaliłem się. nie zapomnij ułożyć 'niżny nowogród' – odparła ze śmiechem. – ułoż spodoba mi się – śmieje się. i 'niżny nowogród' ułożymy – i 'syktywkar' – i 'joszkar-oła' – zaczekaj proszę. – siadam bliżej – jej stopy opieram na swoich obojczykach – uśmiecham się – przebieram palcami – litery i figury – zaczynam od słowa 'wietła'.

*

post się skończył – ale grudzień nie. kupiliśmy nowe wieszaki – białe niebieskie – w ciągu dnia na targu. dwie poduszki z łuską gryki w środku. grudzień spłynął kwietniem – i kolory zupełnie się rozmyły. mokre buty – popękane ślizgacze – na gałęziach mokre lampki z których wieczorem widać idącą parę – węgierskie pianino nataszy – jej ciemnozielona długa kurtka z kapturem wąska pikowana w prostokąty – brązowa sztruksowa bez kaptura moja – życie na dwa mieszkania – chodzenie od domu do domu – skrzywienie płóz na porozbijanym asfalcie – wiozą też butle z pompy wodnej. pracuje w 'ziemi wietłuskiej': to miejscowa gazeta: jako redaktor: nie – nie główny. – to natasza dzwoni ode mnie do rodziców do kirowa – siedzi na krześle – w szarej koszuli w kratę bez majtek – rzeczywiście pracowałem tam do tego grudnia. nogi ma mocne i długie. jak nelmy – myślę sobie – wspominając o mansach. po co ten pośpiech? – pyta kierowniczką urzędu stanu cywilnego. – chcemy zdążyć w grudniu. – dlaczego? brak odpowiedzi. – w porządku. gratuluję.

*

dwie butelki wody mineralnej 'wietłuszkaja' przeciwko jednej butelce wódki 'wietłuszkaja'. głupia makrela. ciasto z dżemem porzeczkowym. moja kapusta i żurawina. co bym bez nich zrobił? mówię: ...do filii uniwersytetu leśnego – jeśli przyjmą – nie sądzę by potrzebowali sławistyki – ale może język niemiecki. mówi: lepiej wynajmijmy moje mieszkanie studentom z leśnego – zabierzemy tylko pianino.

*

wietłuska winiarnia nr 4 – teraz wietłuska gorzelnia – zbudowana w 1901 roku – według danych z 1907 roku produkowała 150 tysięcy kadzi rocznie – muszę pamiętać żeby zaznaczyć sobie w planach zrobienie o niej książki – o jej degustatorach i dystrybutorach – pracownikach produkcji i pomocnikach –

kierowniku i głównym inżynierze – prawnikach księgowych – inspektorach alkoholu z kostromy i niżnego – o dzieciach ich mężów i żon – narzeczonych i kochankach – o domowych uroczystościach i bankietach biurowych – żeby nie zapomnieć... – leżąc tak sobie myślę – ale nie chce się wstawać i zapisywać – po ciemku szukać długopisu. natasza śpi. z gzymsów mocno kapie. pada deszcz. dziwnie cicho jest na ulicach – a przecież cztery godziny temu nastał nowy rok. czasami pod oknami przejdzie jakaś piosenka – ktoś krzyknie hura – albo kur – albo jedno i drugie razem. i szczekanie psa. wszystko rozplywa się w szumie deszczu. a – to dlatego jest mało ludzi. sylwestrową ulewną noc przypominam sobie tylko jedną – nowy 1995 rok – miasto nazywało się konstanca – obok mnie leżała siostra mojego kolegi o imieniu julia syrbu – i nie spała – kilka godzin z rzędu grała płyta rumuńskich kolęd w wykonaniu stefana hrusci – wstawałem żeby ją odwrócić – nieskończoną ilość razy – po ciemku ustawiałem igłę w przybliżone miejsce na płycie gdzie był mój ulubiony utwór – o białych kwiatach – florile dalbe – florile florile dalbe – julia się uśmiecha – dotyka pogryzionej małej piersi – uśmiecha się i milczy – nie ma sensu rozmawiać ze mną po rumuńsku – jej majtki leżą w mojej zielonej torbie podróżnej – jej rodzice śpią pod nami na parterze – florile florile dalbe. niedługo zachce się do toalety. doleżę – i wtedy już zapiszę o wietłuskiej winiarni nr 4.

*

drugi stycznia. jesteśmy z nataszą na rynku. przyszliśmy po kapustę – kalinę i żurawinę. jeśli znów pożeramy śmieciowe jedzenie – to nie znaczy że teraz wcale nie trzeba jeść zdrowego. już nie leje – ale i śniegu w wietłudze nie ma. natasza z jakiegoś powodu kupiła karafkę. no tak – śmieszna ta karafka. chociaż sam też jestem wielbicielem karafek – i mam ich kilka. zatrzymałem się przed młodą kobietą w skórzanej kurtce sprzedającą kagańce i smycze – sztuczne kości dla szczeniąt i piłki dla kotów. wśród nich – zawilgotniałe płaskie pudełko – z zieloną papugą na nim. napis – 'potrava pro andulky'.

czeska karma dla papug. potrawa pro andulky. lzy napłynęły do oczu. pewnie dlatego że jak na złość nie mam przy sobie ani jednej korony.

.

po co ci ta karma? – natasza się uśmiecha. powoli idziemy do domu. – żeby nasypać do twojej karafki – i rzucić z mostu do wietługi – panowi rzeki. – nie. rzuć bez karafki. ofiaruję mój imbryk. – niebieski? – niebieski. – polubiłem niebieski. – no i dobrze – panu wietługi nie wolno rzucać śmieci. – też mi – niszańska szamanka. dobra – znajdziemy coś do rzucenia. kupimy mu coś. babki rumowe i obwarzanki. i wódkę firmową 'wietal'. – obwarzanki może i rzucisz... – co ty gadasz? kto z naszej dwójki czytał mandżurskie zasady składania ofiar niebu i duchom – 'manjusai wecere metere kooli bithe'? – a karma po co? – pojedziemy do jonowa – oddamy pice. nie możemy przecież ot tak zlekceważyć tych słów. lubiłem czechy. również w grudniu. jeździłem do hradca králové i pragi. dzień i noc uczyłem się języka... – a dlaczego papuga to andulka? – cholera wie. pewnie dlatego że żyje w andach. – papugi faliste żyją w australii. – to niemożliwe.

*

rzuciliśmy torby – i od razu poszliśmy. co prawda przed wyjściem postaliśmy trochę w kuchni. to znaczy natasza stała opierając się łokciami o stół – a ja na odwrót – ale to była moja inicjatywa: natasza czekała w zrozumieniu – a potem marudząc poleciała do łazienki. musieliśmy być na moście jeszcze przed zmierzchem. w torbie mam duży głęboki talerz. wódkę i babki rumowe kupimy. zamiast obwarzanek – kawałek kiełbasy. (ma niby samymi babkami zagryzać?) pod mostem powymywało lód – bardzo ciepły był cały grudzień – a przez ostatnie dni lał deszcz. bryzgając po moście jadą 'gazele' – i arcybrudne ciężarowe 'ziły'. oparliśmy się o barierkę. natasza trzyma talerz – a ja nakładam na niego wszystko. otwieram butelkę. podaję nataszy. biorę od niej talerz. patrzemy uważnie w wodę. zaczynam tak: kerani kerani ptaku

szybujący kerani kerani co na wschodniej górze kerani kerani masz mieszkanie swoje kerani kerani czangi groźne bóstwa kerani kerani brzóz na górze czangling kerani kerani mangi groźne bóstwa kerani kerani dębów z góry manga... natasza patrzy mnie. tak mówiła niszkańska szamanka – wyjaśniam. – ładnie? ...dobry panie rzeki wietługi – który mieszkasz pod mostem – witaj – przyjacielem naszym bądź – nie gniewaj się na nas – w tym swoim ukochanym mieście nad swoją rzeką pozwól nam długo żyć – długo i szczęśliwie... bardzo blisko pędzą samochody. ...ten poczęstunek przyjmij od nas łaskawie. – rzucam talerz – leci. biorę wódkę – leję trochę na dół – wiatr ją rozbryzguje i rozwiewa. mówię do nataszy: po łyku? – po łyku. pijemy – krótko się całujemy. ...ten napój przyjmij od nas łaskawie. to tyle. może bez butelki byłoby lepiej? – pyta natasza. – nie rozbije się – mówię – zrobi z niej wazon – albo tłuczek – będzie bił pijanych po kolanach – żeby nie wchodzili do wody.

*

drugi stycznia stał się niebieski – wchodzimy w przymarzę kałuże – nad sztyldami sklepów wietługi migają światła – cienkie nagie sznury choinkowe-dzieci. oznaczają radość. – myślę że jest im zimno. – natasza jest smutna. – zatroszczyć się o siebie – mam nadzieję. i o nas też. jesteśmy w domu – mamy niecałe trzydzieści lat. otwieram drzwi mojego grudniowego mieszkania – włączam światło. pośrodku pokoju stoi fortepian nataszy – który mieliśmy zamiar przewieźć zaraz po świętach – w środę lub czwartek. wołać znajomych na to niełatwe zadanie – zamawiać samochód. panowi wietługi zasmakowała nasza wódka – mówię cicho. i kiełbasa z babką rumową – mówi żona.

